



## PODRÓŻ W NIEZNANE

Nadchodził wieczór. Ciemny samochód dyrektora wciąż pędził na zachód, czasem tylko zwalniając, gdy asfaltowa autostrada przebijała się przez zakamarki prowincjonalnych miasteczek.

Ułożony na tylnym siedzeniu kot był spokojny, mocno skrępowany zwojami opatrunków. Niekiedy, gdy opony pojazdu uderzały o nierówności drogi, ból targał jego obolałym ciałem i spod bandaży dobiegało pełne cierpienia miauczenie. Wówczas dyrektor odwracał głowę i odzywał się do kota czule: „Kocie, kocie, bądź mężny, wytrzymaj jeszcze trochę, kocie. Wiem, że bardzo musisz cierpieć, bądź jednak dzielnym kotem...”. Zwierzę, jak gdyby rozumiejąc, przedstawiało miauczeń, kojone przyjaznym głosem.

Słońce zachodziło już, gdy samochód, opuszczając autostradę, wjechał w las. W oddali, poprzez rzadko rosnące drzewa, ukazały się masywne przypomina-

jące porozrzucane klocki budowlne. Smukła żelazna wieża, dziwne konstrukcje, których przeznaczenia domyślać się mogli jedynie specjaliści, maszty, anteny.

Mała, niepozorna brama w zielone i żółte plamy zamknęła drogę autu. Od niej, w lewo i w prawo, biegł wysoki mur uzbrojony zaporami z drutów kolczastych. Umieszczona nad bramą tablica głosiła:

**STOP. WSTĘP SUROWO WZBRONIONY. STOP.**

Dyrektor zatrzymał samochód. Jak spod ziemi pojawili się dwaj uzbrojeni wartownicy. Wyższy sprawdził starannie dokumenty, drugi otworzył drzwiczki samochodu, następnie podejrzliwe spojrzął na kota. Wreszcie brama rozsunęła się i samochód wolno wjechał do środka. Podróżni byli na miejscu.

Nie minęło pięć minut, gdy w gabinecie dyżurującego rozległ się brzęk dzwonka telefonicznego.

– Tu szpital – zawołał lekarz, podnosząc słuchawkę.

– Mówi dyrektor ośrodka – doleciało z oddali. – Przywiozłem ciężko ranne-  
go. Leży w samochodzie.

– Rozumiem – odpowiedział lekarz. – Wysyłam natychmiast dwóch ludzi z noszami.

– Nie! – zawołał dyrektor. – Wystarczy jeśli przyjdzie pan sam, doktorze. A zamiast noszy proszę przynieść zwykły koszyk.

Lekarz usłyszał jeszcze stuk odkładanej słuchawki i telefon umilkł. Wzruszył więc ramionami, namyślał się przez chwilę, wreszcie machnął z rezygna-

cją ręką. Znalazłszy druciany koszyk, jaki zazwyczaj używany jest do roznoszenia naczyń, zbiegł pospiesznie po metalowych, krętych schodach. Pchnął oszklone drzwi i zatrzymał się zdumiony. Dyrektor podawał mu okazałych rozmiarów pakunek owinięty bandażem. Z jego wnętrza dobiegało żalosne pomiaukiwanie...

– Proszę się nim zająć, doktorze. To bardzo ważna sprawa.

Ale lekarz wciąż nie mógł zorientować się w sytuacji. Nieudolnie trzymając kota, spoglądał to na dyrektora, to na zwierzę. Wreszcie wysapał pełen niechęci:

– Panie dyrektorze, przecież to chyba jakaś pomyłka... Przyjęto mnie tu, abym udzielał pomocy personelowi ośrodka kosmicznego, a nie zwierzętom...

– Ma pan rację. Proszę przyjąć więc do wiadomości, iż ten dzielny kocur – tu spojrzął z sympatią na kłęb bandażu – od dziś wchodzi w skład osobowy Centrum Badań Kosmicznych.

Trzasnęły drzwiczki, zahuczał silnik i czarny samochód zniknął za zakretem, pozostawiając osłupiałego lekarza z kotem na rękach.

Cóż począć miał pocziwy doktor Deranie?

W pierwszym odruchu położył rękę w okolicy serca niecodziennego pacjenta i spojrzął na zegarek.

– Sto osiemdziesiąt uderzeń na minutę! – zaklął, zamyślił się i odetchnął z ulgą. Przypomniał sobie, że serce kota bije co najmniej dwa razy szybciej niż człowieka. Zupełnie zrezygnowany, trzymając coraz bardziej ciężące mu zwierzę powędrował powoli po schodach do ambulatorium.



Prześwietlenie rentgenowskie wykazało, że mimo upadku z tak wielkiej wysokości, żadna z kości kota nie uległa uszkodzeniu. Wprowadzie obie przednie łapy zostały zwichnięte, a mięśnie ich były mocno naderwane, jednak, jak obliczał lekarz, w ciągu tygodnia, najwyżej dziesięciu dni, powinny odzyskać pełnię sprawności.

Rozdarty przez szczura bok został zszyty mocną, chirurgiczną nicią. Zakładając szew, lekarz nie mógł się wprost nadziwić cierpliwości kota...

– Patrzcie, jaki on wytrzymały – mruczał pod nosem Deranie, pokrywając zeszytą ranę środkiem do opatrywania ran. – Przecież on cierpliwszy jest od wielu moich pacjentów. Nawet, biedak, nie piśnie, a przecież musi go to solidnie boleć.

Po czym usztywnił obie zwichnięte łapy drewnianymi łupkami.

„Muszę przyznać – pomyślał – że w pierwszej chwili bałem się nieco tego kocura. Przecież to nie kot, a po prostu domowy tygrys. Nigdy nie wiadomo, co takiemu może przyjść do łba. A nuż wścieknie się, albo coś w tym rodzaju”...

Pogłaskał kota delikatnie po grzbiecie.

– Jesteś dobrym kotem, cierpliwym i grzecznym. Skąd ty się wzięłeś i jak się nazywasz? – Przez chwilę wpatrywał się w mądre, wypełnione bólem oczy, zastanawiając się. – Skoro nie chcesz nam tego powiedzieć to trudno – kontynuował. – Muszę ci nadać jakieś imię... No bo jak wypisałbym ci kartę choroby?

Lekarz myślał długo, wreszcie odezwał się uroczystym głosem:

– Kocie, nadaję ci imię FELIKS, co oznacza „szczęśliwy”. Bowiem wiele, wiele musi mieć szczęścia taki dachowy kot jak ty, aby dostać się do Ośrodka Badań Kosmicznych...

Zmęczony, obolały Feliks spał już, gdy zabrano go z ambulatorium. Doktor Deranie początkowo nie bardzo wiedział, gdzie ułożyć małego pacjenta. Wreszcie wpadł na pomysł, który okazał się bardzo fortunny.

W małym szpitalu Ośrodka Badań Kosmicznych przebywał tylko jeden pacjent, za to niezwykły – dziewiętnastoletni pilot zwany przez wszystkich Szalonym Jackiem. Zbyt lubiąc brawurę, od kilku już dni leżał z obiema nogami na wyciągu. Ręce Jacka wyszły jednak z lotniczej kraksy bez szwanku i w te właśnie ręce oddał doktor Feliksa.

Chłopiec polubił kota z wzajemnością, tak że Feliks, mimo że przygotowano mu wygodne łóżeczko z kartonu po lekach, większość dnia spędzał na ramie-



niu pilota. Wiedziony instynktem wyczuwał, że Jacek jak i on jest istotą chorą, więc również potrzebującą opieki.

Nie znając się na ludzkich dolegliwościach, Feliks, na wszelki wypadek, już następnego dnia rano, gdy tylko poczuł się lepiej, polizał nowemu przyjacielowi dłonie i policzki – czemu sprzeciwić się Jacek nie miał zamiaru...

Mijały dni, obaj pacjenci powracali do zdrowia. Jacek, choć czuł się coraz lepiej, musiał jeszcze wiele czasu spędzić z unieruchomionymi nogami, rozpamiętując bolesne skutki swej brawury. Za to nim minął tydzień Feliks zdarł zębami opatrunki i kuśtykając niepewnie, lecz z dumnie podniesioną głową i postawionymi wąsami, zrobił honorowy przemarsz przez całą długość szpitalnego korytarza tam i z powrotem. Następnie wgramolił się o własnych siłach na łóżko Jacka.

W tym czasie, gdy nasz bohater wraz ze swym uwięzionym na wyciągu opiekunem szybko odzyskiwali siły, zbudowany wśród lasów Ośrodek Badań Kosmicznych tętnił codzienną pracą. Każdego dnia od rana z ogłuszającym rykiem wlatywały w niebo odrzutowe samoloty. Skrzydła ich przypominały srebrzyste strzały. W potężnych halach montowano wysmukłe kadłuby rakiet. Obsługa urządzeń radiowych czujnie wsłuchiwała się w dolatujące z odległych przestworzy sygnały. Równocześnie odbywały się narady inżynierów – omawiano najważniejsze problemy, rozwiązywano trudne zagadnienia. Wysuwano wnioski z nieudanych eksperymentów i planowano nowe.

Właśnie na jednym z takich zebrań zostało wymienione imię Feliksa. W dużej, pełnej światła wpadającego przez szklane ściany sali, zebrali się specjali-



ści – inżynierowie, lekarze, biolodzy zajmujący się badaniami, które mogłyby umożliwić człowiekowi zdobycie kosmosu. Było już dobrze po dwunastej, gdy na salę wszedł, a raczej wbiegł, jak zawsze spóźniony, dyrektor ośrodka. Tuż za nim, ledwie dotrzymując kroku, dysząc, podążał jeden z asystentów, dzwigając dziwną walizę z okrągłymi otworami.

– Szanowni koledzy – zwrócił się do zgromadzonych dyrektor. – Poprosiłem was o przybycie na naradę w celu przedyskutowania od dawna odkładanej sprawy...

Zgodnie z naszymi założeniami, zanim oderwiemy się od Ziemi, aby poszybować w przestworza, musimy najpierw posłużyć się zwierzętami w celu zbadania sprawności naszego sprzętu. Musimy się przekonać, jakie panują warunki w kosmosie i jak organizm znosi pobyt w stanie nieważkości; jakie



czekają na nas niespodzianki, może pułapki. Wiecie, że nasi amerykańscy koledzy wykorzystują w tym celu małpy, koledzy rosyjscy – psy... Nie chcemy być niczymi naśladowcami i dlatego od wielu tygodni sami staraliśmy się znaleźć zwierzę najbardziej odpowiednie. Proponowano myszy, szczury, króliki, świnki morskie... Przypadek zrządził, że miałem okazję zobaczyć jedyny w swoim rodzaju pokaz nadzwyczajnego opanowania, fantastycznego zmysłu równowagi, zaskakującego wyczucia przestrzeni i nieprawdopodobnej odporności na hamowanie. Fenomenem tym jest... – tu przerwał dla wywołania właściwego efektu. Nie musiał kończyć. Z otworzonego przez asystenta pudła wyskoczyło z gracją na pulpit pręgowane zwierzę...

– Kot Feliks! – wykrzyknął z końca sali, siedzący na wózku dla ozdrowieńców, piegowaty młodzieniec.

Feliks przysiadł tymczasem, przeciągnął się i bez najmniejszego lęku rozłożył na pulpicie.

– Kot ten – kontynuował dyrektor – w czasie bitwy ze szczurem spadł z dachu sześciopiętrowego domu. Lecąc w niedający się opisać, cudowny wręcz sposób, przybrał pozycję poziomą i wylądował, ponosząc obrażenia, które są nadzwyczaj małe w porównaniu z wysokością spadania.

Pytam szanownych zebranych, czy pies lub małpa potrafiłyby przeżyć taką przygodę? Byłbym szczęśliwy – zawołał z uniesieniem – gdyby nasi przyszli astronauta wykazywali tyle zimnej krwi, tyle wyczucia sytuacji i tyle brawury co Feliks – kot, którego nie zawaham się nazwać urodzonym astronautą!

Po ostatnich słowach dyrektora na sali zapanował wielki harmider. Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki:

- Słusznie! Koty są przecież bardzo wytrzymałe – wołał biolog.
- Są nieduże, łatwo je można ulokować nawet na bardzo małej powierzchni – dodał konstruktor.
- Dobrze znoszą zarówno chłód jak i upał!
- Są czyste!
- Wykazują dużą inteligencję!

Nielicznych przeciwników szybko przekonano. Jeden z inżynierów, który początkowo protestował, nie mogąc sprostać argumentom, nie tylko przestał się sprzeciwiać, lecz nawet kilka razy pogładził Feliksa po przegowanym grzbiecie.

